

KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

- sierpnia 2005 r.

NR 8 (29)



Drodzy – znerwicowani kończącymi się wakacjami – Czytelnicy

Niestety, wszystko co dobre prędzej czy później się kończy. Cieszymy się ze świeżej opalenizny i nie odzwyczajamy zbyt szybko od zdrowego wakacyjnego przebywania na świeżym powietrzu. Zresztą na pocieszenie zostają nam tradycyjne polskie długie weekendy. Z okazji przypadającego w sierpniu święta lotnictwa polecam gorąco wspomnienia Ryszarda Grundmana z kultowej już

defilady lotniczej, gdzie po raz pierwszy pokazano słynną „polską taflę”. Ryszard tam był – zresztą prawie na czele tej niesamowitej kawałkady! Janusz Gulczyński, tradycyjnie wyszukujący różne rocznice, tym razem opisuje „Echa I wojny światowej”. Ponieważ we wrześniu zostanie odsłonięta tablica pamiątkowa poświęcona Antoniemu Studzińskiemu, przypominamy Jego życiorys w fragmentach pióra Kazimierza Gościńskiego. Danusia Olczak w „poetyckich zamyśleniach” wprowadza nas po swoim nieco dziwnym, ale jakże pięknym i ciekawym świecie poety. Zygmunt Kowalczykiewicz wyjaśnia skąd wzięło się jezioro na Zatorzu, zaś Piotr Rybczyński daje rys historyczny iluminowania naszego miasta. I tak po maleńku otrzymujemy dokładniejszy obraz Konina. Włodek Kowalczykiewicz (młodszy) przypomina swoimi „Retrospekcjami” rodzicom i dzieciom, że najwyższy czas pomyśleć o książkach i przybojach szkolnych.

Sierpień to taki dziwny miesiąc, kończy się wakacyjna swoboda, ale pa-

miętajmy o tej prawdziwej swobodzie, która zaczęła się również w sierpniu 25 lat temu. Pamiętajmy o tym!

Serdecznie pozdrawiam.
Stanisław Sroczyński

PS. W lipcu odznaką Towarzystwa Przyjaciół Konina został uhonorowany Mendel Jakubowicz – jeden z bohaterów książki Theo Richmonda

PS. Również szczególnie „dodajemy ducha” naszym poetom i przypominamy już po raz ostatni regulamin konkursu.

PS. „Koniniana” wrześniowe poświęcimy wspomnieniom nieodwołalnej pamięci Lecha Hejmana – jeżeli ktoś z Czytelników chciałby coś napisać bardzo prosimy

1. Z kart przeszłości – ciekawostki z dawnej prasy konińskiej

2. Ze wspomnień – przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień

3. Z dziejów Konina – artykuły o treściach historycznych, archiwalia

4. Tworzyli wizerunek miasta – sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta

5. Naszym zdaniem – wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta

6. Inspiracje kulturalne – poezja, proza, rysunek konińskich twórców

7. Z życia TPK – zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań

8. Barwy codzienności – podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście

9. Odpowiedzi redakcji

Lotnicza tafla nad Warszawą

Pierwsze defilady lotnicze w Polsce odbyły się w okresie międzywojennym i były doskonałym sposobem zaprezentowania techniki i umiejętności polskich lotników. W okresie powojennym ówczesne władze również doskonale rozumiały propagandowy aspekt tego typu imprez.

Dlatego już we wrześniu 1945 r. w Warszawie odbyły się pierwsze po wojnie pokazy lotnicze. Nad Polem Mokotowskim przedefilowały wówczas w ugrupowaniach bojowych samoloty podstawowych rodzajów lotnictwa. Pierwsza typowa defilada lotnicza odbyła się jednak dopiero w rocznicę zwycięstwa nad faszyzmem w dniu 9 maja 1946 r. Nad Placem Zwycięstwa w Warszawie zaprezentowano wówczas pierwszy symboliczny szyk, ugrupowanie w kształcie liter „LP” – skrót od nazwy „Lotnictwo Polskie”. Dalej leciały samoloty bombowe, szturmowe i myśliwskie w ugrupowaniu kluczy. W miarę rozwoju struktur polskiego lotnictwa wojkowego oraz wprowadzania do uzbrojenia kolejnych typów nowych samolotów bojowych władze wojskowe prezentowały je na kolejnych paradach, których stałym i charakterystycznym akcentem była część powietrzna. W 1950 r. po raz pierwszy na pokazie lotniczym zaprezentowano myśliwski samolot z napędem odrzutowym Jak-17. W rok później zademonstrowano już grupę 15 samolotów myśliwskich Jak-23, które przeleciały w prostym ugrupowaniu kolumny trójek. Nowe samoloty pilotowali świeżo przeszkoleni polscy piloci z 1. MPL. Jednak całkowitą rewelacją tej imprezy był dopiero przelot piątki skośnoskrzydłych myśliwców MiG-15. O tempie rozwoju technicznego lotnictwa początku lat 50. niech świadczy fakt, że już w 1952 r. odbyła się ostatnia defilada lotnicza, w której brały udział samoloty z napędem tłokowym. W kolejnych latach odbywały się coraz większe i efektowniejsze parady wojskowe. Tymi starannie reżyserowanymi przedstawieniami odwracano uwagę społeczeństwa od licznych niedostatków i niepowodzeń ówczesnych

władz. Jedną z większych defilad lotniczych zaplanowano w 1957 r. nad warszawskim lotniskiem wojskowym Babice z okazji dorocznego Święta Lotnictwa. Impreza ta składała się zasadniczo z dwóch części: pokazów lotnictwa cywilnego i wojskowego oraz defilady lotnictwa wojskowego. Wówczas to nad lotniskiem zaprezentowano po raz pierwszy nowe myśliwce przechwytyjące MiG-17PF, które pilotowali piloci z WSP z Modlina. Okres ten był dla polskiego lotnictwa wojskowego

szawie. Defiladę miał prowadzić jak zwykle lider w postaci samolotu bombowego Il-28 w asyście czterech myśliwskich Lim-2. Dalej grupa samolotów myśliwskich w postaci czterech kolumn, z których każda miała się składać z pięciu 4-samolotowych rombów.

W sumie ugrupowanie miało liczyć 80 samolotów Lim-5 i Lim-2. Kolejne ugrupowanie to 20-samolotowa kolumna w kształcie rombu składająca się z 16 bombowców. W odstępnie 600 m dalej miała



go szczytowym osiągnięciem. Dysponowało ono wówczas ponad 2 000 samolotów zgromadzonych w dziesięć dywizji lotniczych, z czego większą część stanowiły odrzutowce. Dowódca Wojsk Lotniczych i Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraju – gen. dyw. pil. Jan Frey-Bielecki, który był jego architektem i twórcą, doskonale wczuł się w jego potrzeby i znalazł jego złożoną problematykę oraz dyscyplinę lotniczą, co jasno i wyraźnie uwidoczniło się w skokowo zwiększonym poziomie bezpieczeństwa latania. Wiosną 1959 r. powstała specjalna grupa do zorganizowania wielkiej parady wojskowej, która miała się odbyć w War-

przelecieć kolumna trzech 16-samolotowych rombów złożonych z samolotów Lim-5 i Lim-2. Wreszcie kulminacyjny punkt defilady grupa najnowszych, naddźwiękowych samolotów pościgowych typu MiG-19P, które miały zaprezentować grupowy przelot w szyku delta oraz pojedynczy MiG-19 prezentujący na odpowiedniej wysokości przekroczenie bariery dźwięku. Ten typ miał być prezentowany jako niespodzianka po raz pierwszy. W sumie do defilady zaplanowano wykorzystać ponad 200 samolotów odrzutowych, w tym 37 bombowców Il-28 i 7 naddźwiękowych MiG-

19P. Byłem jednym z 64 pilotów biorących udział w locie pierwszej „tafli”. Przeżyłem dużo emocji i wrażeń.

W samolotach ustawionych w takim szyku na ziemi nie odczuwało się poważniejszych kłopotów. Wiadomo, stały w miejscu, wyrównane na jednakowym poziomie, spokojnie jak konie u żłobu. Prawdziwy balet zaczął się dopiero w powietrzu, kiedy samoloty zaczęły falować, przemieszczając się w pionie i w poziomie. Żaden podrechnik nie dawał odpowiedzi na pytanie, jak dzielić uwagę kiedy w rozdrąganym powietrzu przed sobą widziałem zięjący ogniem otwór dyszy, z którego gorące gazy trzepotały moim statecznikiem, a obok i za mną niebezpiecznie blisko tańczyły tony metalu innych samolotów. Wiedzieliśmy, że zachowując żelazną dyscyplinę i zimą krew damy sobie radę. Nie na darmo legitymujemy się „gapą” polskiego pilota. „Taflę” zbudował spokój, rozsądek i gorący jednocześnie zapał. Gorący zapał – słowa nadużywane przy byle okazji tu znalazły swą właściwą treść.

„Tafla” w powietrzu przypominała lawicę srebrnych ryb mianych silnym prądem wody, albo stado wędrownych ptaków, które zaatakował przeciwny wiatr. A przecież musieliśmy się utrzymać w szyku, wytrwać na swoich pozycjach, bezwzględnie utrzymać nakazane odstępki i odległości. Leciałem jak w kleszczach zamknięty ze wszystkich stron. Nie tylko zresztą ja, dziesiątki innych kolegów pilotów, którzy nie zajmowali miejsc na krawędziach wielkiej „tafli”, inni przynajmniej z jednej strony mieli wolną przestrzeń, w którą mogli w krytycznym momencie odskoczyć. Moja trudność polegała jeszcze na tym, że jako zastępca prowadzącego „taflę”, musiałem troszczyć się nie tylko o utrzymanie własnej pozycji, lecz także obserwować kątem oka trasę, utrzymywać w pamięci charakterystyczne punkty orientacyjne, zwracać uwagę na czas, aby nie być zaskoczonym w chwili koniecznej do podjęcia dowodzenia „taflą”.

pl. dypl. pil. Ryszard Grundman



Dzień – okruch z diamentu życia?

Przychodzi, gdy otwieramy oczy budząc się ze snu, a odchodzi, gdy zapada zmierzch. Już nigdy nie wraca, jedynie we wspomnieniach...

Dzień ma niewiele czasu, by powiedzieć kim naprawdę jest i dlaczego przychodzi. Najczęściej go nie rozumiemy. Przemawia dziwny językiem zdarzeń. Przynosi prezenty, które nie zawsze nam się podobają i wcale tego nie ukrywamy. A już w ogóle nie przychodzi nam do głowy, żeby traktować go jak przyjaciela. Bo cóż to za przyjaciel na kilkanaście godzin? Szukamy czegoś bardziej konkretnego, co przyniosłoby jakąś korzyść, zadowolenie i spokój. Mamy dość nierozwiązanych spraw i pytań bez odpowiedzi. A dzień? Jak to dzień, przychodzi i odchodzi. Czy warto z nim w ogóle rozmawiać? Co on wie o naszym zmezczeniu, zagubieniu? A co kropła wody wie o deszczu? Wszystko! No właśnie...

Skąd przychodzi każdy kolejny dzień? Z dalekiej przeszłości, z krainy słońca, z odległego wczoraj, z bliskiego jutra? Kim jest? Cierpliwym nauczycielem, mędrcom wszechświata, czy naszym

własnym lustrem? Po co tak naprawdę przychodzi? Aby nas powitać i wkrótce pożegnać, przypomnieć kim jesteśmy, a może zostawić światło prawdy?

Dzień niewiele różni się od czło-

Tak! Może zaprowadzić nas do miejsca, które istniało jedynie w naszych marzeniach, albo uczynić coś, co zabije naszą duszę. Jest w stanie obmyć nas z kurzu bezsensu, obudzić uśpioną

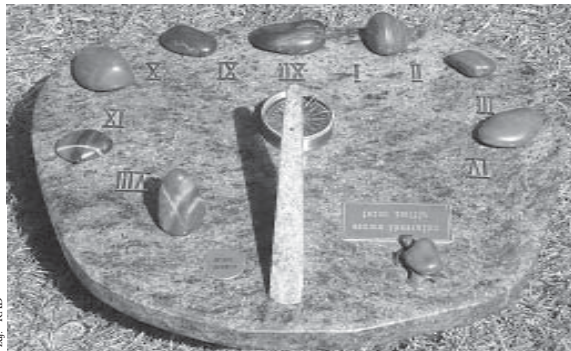
uczynić coś niewyobrażalnie pięknego, ważnego, trudnego lub wyjątkowego, czego już nie dokona nawet sto dni!

Czy on rozumie ludzi, do których przychodzi? Czy wie, jak bardzo różnią się myślami, poglądami, odczuwaniem, oceną najwyższych wartości? Czy zna labirynty uczuć, które wytycza życie w ich sercach? Czy wie, że choć ludzie pragną siebie uszczęśliwić, tak do końca nigdy im się to nie udaje?

Dzień najbardziej kocha chwilę obecną. Jest ona najpiękniejszym kwiatem czasu, z którym można czuć się bezpiecznie. Bo wtedy przeszłości już nie ma, a przyszłości jeszcze nie ma. Pozostaje to, co mieści się w dłoniach-obecności tu i teraz...

Co robi dzień, gdy słyszy słowa, których nie można już cofnąć, ani zapomnieć? Jak przyjmuje bolesną skargę i najczulsze wyznanie? Dokąd chce zaprowadzić człowieka, który stoi nad przepaścią? Czy błogosławi każdą spływającą łzę, każdy wysiłek, który próbuje zniszczyć zło? Dlaczego dzień opuszcza człowieka w chwili, gdy znalazł prawdę i chce o tym porozmawiać?

A człowiek? Czy zaprasza dzień na herbatę wspomnień, na długi spacer ścieżką zrozumienia? Czy ma świadomość jego nieustannej obecności i po-



Do odmierzania samych słonecznych dni

wieka. Śmieje się słońcem, płacze deszczem, biegnie wskazówkami zegara, zachwycia się pięknem, zamysła nad cierpieniem, ukrywa bezsilność, chce zatrzymać chwilę szczęścia. Czy tych kilkanaście godzin każdego dnia jest w stanie zmienić coś w naszym życiu?

rzekę nadziei. Może zamienić życie w kwitnący ogród, albo w ruinę, jaką czyni gwałtowny huragan. Potrafi uciszyć fale wewnętrznego oceanu, cofnąć czas o dziesiątki lat, odmienić teraźniejszość, nauczyć nas czegoś ważnego poprzez cierpienie. Jeden dzień może

mocy? Coraz więcej pytań...

Kiedyś napisałam wiersz pt. „Dzień”. Do dziś nie mogę się nadziwić dlaczego właśnie tak ująłm ten temat:

*Wyrwany ze snu
klaksonem świtu
niezbyt dokładnie odmierzył
co dla kogo*

*nieostroźnie
rozspalał obietnice
przełaził
musujący niepokój
nie dowodził
kilka gramów szczęścia*

*a przecież
my klienci chcemy
aby nas traktowano
jednakowo*

Przychodzi, gdy otwieramy oczy budząc się ze snu. Nie zraza go nic. Ani wiatr, ani nasz smutek, ani zamknięte okna i drzwi. Przychodzi od początku do końca naszej drogi i zamiast „Dzień dobry”, mówi: „Poznaj siebie”. Często powtarza słowa, których nigdy nie zapomina nasze serce:

Istnieje coś więcej ponad niepewność, lęk, samotność, ludzkie błędy i ich skutki. Jest coś, co pozwala wyjść z beznadziejnej pustki i unieść się ponad ten cały chaos - do światła...

Czy wiesz co to jest?

Danuta Olczak



Jeziorko Zatorze

W lutym 1952 r. Prezydium Rządu zobowiązało przewodniczącego Państwowej Komisji Planowania Gospodarczego do zlecenia biurom projektowym Niemieckiej Republiki Demokratycznej wykonania projektu kombinatu „Konin”, w skład którego miały wejść: kopalnia odkrywkowa, nowa brykietownia, koksoownia, wylewnia i elektrownia. Od tej pory wiadomym się stało, że eksploatacja konińskich złóż węgla brunatnego nie zakończy się na odkrywcze „Morzysław”.

Bogate pokłady węgla zalegały w pobliżu uruchomionej w 1946 r. brykietowni. Zasoby obejmowały obszar

dochodzący od strony południa do obecnej dzielnicy Zatorze. Granicą zachodnią była szosa wiodąca z Konina do Kazimierza Biskupiego. Dla celów wydobywczych tereny górnicze zostały podzielone na dwa pola wydobywcze, zwane odkrywkami: „Niesłusz” i „Gosławice”. Oba zakłady wchodziły w skład Kopalni Węgla Brunatnego „Konin”.

Koniński węgiel brunatny powstał w trzeciorzędzie, epoce mioceńskiej. Zalega na głębokości umożliwiającej wydobywanie go metodą odkrywkową. Spoczywają na nim iły plicieńskie oraz czwartorzędowe skały, zbudowane z gliny, szarej i żółtej, piasków, żwirów i namulów. Utwory nadwęglowe noszą nazwę nadkładu. W czasie eksploatacji złoża niesłuskiego trans-

portowano go do miejsc składowania, zwanych zwałowiskami. Dzielono je na: zewnętrzne – powstające w fazie odkrywania stropu pokładu węgla oraz wewnętrzne – w miejscach powyrobiskowych, czyli tam, gdzie węgiel już został wydobyty.

Idąc ulicą Paderewskiego z dzielnicy Niesłusz, po Międzyzlesie, widzimy po prawej stronie garaże samochodowe i ogródki działkowe. Powstały one na zwałowiskach wewnętrznych odkrywki „Niesłusz”. Kiedy zbliżymy się do ulicy Kleczewskiej, widoczne są strzępiaste wyniesienia zwałowiska zewnętrznego. W latach działania odkrywki „Niesłusz” nie stosowano przenośników taśmowych i zwałowarek. Stąd zwałowisko przy Kleczewskiej ma nieregularne kształty odbiegające od innych, sypanych w latach późniejszych.

W czerwcu 1959 r. wydobyto ostatnie tony węgla z zachodniej części zło-

ża odkrywki „Niesłusz” i przystąpiono do zasypywania terenu powyrobiskowego. Zwałowisko wewnętrzne zostało objęte rekultywacją polegającą na wyrównaniu wierzchołków i przygotowaniu jej do celów rolniczych, na których wytyczono tereny pod ogródki działkowe dla mieszkańców miasta.

Od połowy lat sześćdziesiątych XX wieku Konin przeżywał dynamiczny rozwój budownictwa mieszkaniowego i obiektów użyteczności publicznej. W czasie rekultywacji terenów odkrywki „Niesłusz” zrodziła się koncepcja przeznaczenia części gruntów na obiekty sportowe i rekreacyjne. Planując powierzchnię zwałowiska wewnętrznego uformowano powierzchnię o powierzchni ponad 12 hektarów, która w zamiarze miała być stadionem sportowym. Stykając się z nim od strony zachodniej i północnej ziemię przeznaczono na ogródki działkowe o are-

ale 11 ha. Uśrednione warstwy terenu przedstawiały się następująco: 94 m n.p.m. płyta projektowanego stadionu, 97 m n.p.m. ogródki oraz 120 m n.p.m. najwyższy poziom zwałowiska zewnętrznego. Jako ciekawostkę podajemy, że ulica Paderewskiego jest ułożona na wysokości ~ 108 m n.p.m.

Ze stadionu przy Kleczewskiej zrezygnowano w latach siedemdziesiątych na rzecz lokalizacji obiektu sportowego między mostami na Warcie i jej odnodze. Po wzniesieniu domów osiedla Zatorze, coraz więcej mieszkańców spacerowało i wypoczywało na terenach pokopalnianych. Stały się one atrakcyjniejsze, kiedy płaszczyznę niedosłego boiska wypelniła woda. Powstało jezioro z wyspą, do którego przylgnęła nazwa Zatorze. Jego powierzchnia, wraz z drzewami i krzewami porastającymi brzegi, zajmuje 15 hektarów.

Zygmunt Kowalczykiewicz



Niegdysiejsze miejskie latarnie

Mrok wspólnego miasta rozświetlały setki ulicznych latarni. Kiedy nagle przestają działać, spowite ciemnością miasto wygląda wręcz nierealnie i trudno nawet wyobrazić sobie codzienne życie w takich warunkach. Jedynie najstarsi pamiętają wojenne „zaciemnianie”, które miało utrudnić działanie lotnictwa i dość iluzorycznie chronić przed bombardowaniem.

Tymczasem nasi protoplaści przez stulecia żyli w mieście, które po zmroku ogarniały przysłowiowe egipskie ciemności. Rytm życia wyznaczały wschody i zachody słońca, nawet w czterech ścianach własnego domu. Światło było równoznaczne z otwartym ogniem, a ten budził strach. Jednym z największych koszmarów było widmo pożaru, który w gnieniu oka mógł obrócić w perzynę całe miasto. Szczególnie, kiedy niespo-

dziewanie wybuchał w nocy, gdy mieszkańcy pogrążeni byli we śnie. Bez względu na egzekwowano zatem obowiązek wygaszania ognia po zmroku. Po ciemnych, i z reguły tonących w błocie, ulicach średniowiecznego miasta przechadzali się z zazwyczaj jedynie strażnicy, których głównym obowiązkiem było wypatrywanie ognia. Niewiele zmieniło się także w następnych kilku stuleciach doby nowożytnej.

Z czasem jednak przemiany były nieuchronne. Ludzie powoli odchodzili od naturalnego rytmu dnia i nocy, a dzięki zmianom w kształcie urbanistycznym i architektonicznym miast groźba pożarów stawała się mniejsza. Ciemne ulice zaczęły być w tej sytuacji kłopotliwe, a nawet niebezpieczne i w końcu sprawa oświetlenia ulic i placów miast stała się przedmiotem uregulowań administracyjnych.

Postanowienie namiestnika Królestwa Polskiego z 1820 r. nie tylko nakładało obowiązek oświetlenia ulic miasta, ale także określało sposób finansowania i realizacji. Koszty zakupu i napraw latarni oraz oświetlenia ulic ponosiła nie kasa ekonomiczna miasta, lecz właściciele domów w formie odrębnej składki, tworzącej specjalny fundusz.

Na drodze publicznej licytacji „in minus” wylaniano przedsięwzięcie, który za zadeklarowaną sumę miał zapewnić oświetlenie ulic. Kontrakt zawierano na trzy lata, po czym ogłaszano kolejny przetarg. Teoretycznie miał to być sposób najmniej kłopotliwy dla władz miejskich, ale w praktyce był źródłem nieustannych kłopotów i konfliktów. W toku licytacji wygrywający często oferowali się przejąć eksploatację latarni miejskich za tak zwaną kwotę, że później mieli kłopoty z wywiązaniem się z umowy. Jeszcze gorsze było to, że dzierżawcy, chcąc obniżyć koszty własne, maksymalnie oszczędzali na niezbędnych biejących naprawach, co w konsekwencji prowadziło do ich szybkiego zużycia. Pomimo tego wprowadzono u zarania Królestwa Kongreso-

wego system zarządzania oświetleniem miasta przetrwał w zasadniczym kształcie do końca zaboru.

W 1825 r. zamontowano w Koninie pierwsze cztery opalane olejem latarnie uliczne, tzw. rewerberowe. Z czasem ich liczba uległa powiększeniu i w połowie XIX stulecia znajdowało się już 15 takich latarni. Były to proste urządzenia montowane na drewnianych słupach, które nie dość, że nie wyglądały efektywnie, to jeszcze były nietrwałe. W 1864 r. zamontowano kolejne 3 latarnie, ale już na kosztownych

słupach żelaznych, którymi również zastąpiono z czasem drewniane słupy pozostałych latarni ulicznych.

Na przełomie XIX i XX wieku miasto posiadało już 57 lamp ulicznych. Wzrost ilościowy był istotny, ale powiększyło się samo miasto, a co więcej wzrosły wymagania mieszkańców, którym zwykle lampy nie były w stanie sprostać. Lampa olejowa, z czasem zastąpiona naftową, dawała niewiele światła i na początku XX stulecia powszechna była opinia, że oświetlenie ulic w Koninie jest fatalne.

W tej sytuacji w 1907 r. przystąpiono do montażu nowych naftowych lamp ciśnieniowych typu „Waszyngton”. W 1911 r. było w mieście już 18 tego rodzaju lamp, w tym 3 potrójne o sile światła 1000 świec i 14 dwuramienne o sile światła 750 świec. Nowe lampy były jednak skomplikowane i kłopotliwe w eksploatacji, co przy wspomnianym sposobie działania dzierżawców prowadziło do oplakanych skutków. W tymże 1911 r. zamontowane zaledwie cztery lata wcześniej lampy znajdowały się już w fa-

talnym stanie technicznym.

Revolucja w zakresie oświetlenia ulic Konina nastąpiła dopiero w latach I wojny światowej. W oczach Niemców (którzy jesienią 1914 r. zajęli miasto) lampy naftowe, którymi w Koninie nadal oświetlano nie tylko ulice, ale także budynki użyteczności publicznej i mieszkania, były cywilizacyjnym przeżytkiem. W tym czasie nawet mniejsze miasteczka w zaborze pruskim posiadały gazownie lub elektrownie, a często i oba te zakłady. W tej sytuacji władze okupacyjne zainicjo-

wały proces elektryfikacji Konina.

Już w 1915 r. zainstalowano pierwsze latarnie elektryczne, które początkowo wykorzystywały agregaty prądotwórcze znajdujące się w kilku konińskich zakładach przemysłowych. Było to możliwe dlatego, że z braku surowców i materiałów zakłady te prawie zaprzestały produkcji. Uruchomienie w końcu 1916 r. elektrowni miejskiej, pierwszego nowoczesnego przedsiębiorstwa komunalnego, ostatecznie wprowadziło Konin w epokę elektryczności.

Piotr Rybczyński



Echa I wojny światowej

Konin, sierpień 1914 r.

W sierpniu 1914 r., wraz z wybuchem wojny światowej, echa

tragicznych wydarzeń z pobliskiego Kalisza dotarły również i do Konina. Zawiązał się wówczas w mieście Komitet Bezpieczeństwa Publicznego, który prawdopodobnie stał się rzecznikiem puszczania w obieg w mieście i regionie kilku numerów pierwszej prasy konińskiej. „Więści z Konina”, bo tak się nazywała owa efemeryda prasowa (rodzaj gazetek, druków ulotnych) wydawane były w konińskiej drukarni Ernesta Pawła Michela. Znanych jest wspólnie zaledwie sześć numerów pisma przechowywanych w zbiorach Muzeum Okręgowego w Koninie.

Oto kilka wypisów z tego niezmiernie cennego źródła, informacji na temat sytuacji w Koninie w burzliwych dniach sierpnia 1914 r.

„Więści z Konina” nr 2 z 7 sierpnia 1914 roku:

„Komitet bezpieczeństwa publicznego wydał odezwę do mieszkańców, w której ostrzega przed tłumnym gromadzeniem się na ulicach w razie

przemarszu lub postoju wojska.”

„Obywatele - pośród siebie żyjemy kilka parszywych owiec - szpiclami zwanych. Judasze ci, gotowi za pieniądze pod fałszywą przysięgą obmówić i oczernić własnych braci i w ten sposób wytworzyć zamęt - są u nas niepożądani. [...] Radzimy tym panom gdzie indziej poszukać pola zarobku. A tych, którzy utrzymują stosunki z podobnymi osobnikami, ostrzegamy, że sami podają się w podejrzanie.”

„Więści z Konina. Dodatek Nadzwyczajny”, sobota, 8 sierpnia 1914 roku:

„Wczoraj około godziny 10-tej wieczorem ukazał się nad naszym miastem balon systemu Zeppelin. Furkotanie śmigła tak było głośnie, że wywabiało na ulice tysiące osób. Balon poszybował w kierunku wschodnim.”

„W nocy z piątku na sobotę rozrzucona została po wsiach przelatująca balon w tysiącach egzemplarzy „Odezwę do Polaków”. Zewnętrzna jej szata i styl wskazują, że jest to pruska robota, a zatem wilk w owczej skórze [...].

„Zabiegaj Komitetu łącznie z członkami Straży Ogniowej i Towarzystwa Wioślarskiego około utrzy-

nia ładu, porządku i spokoju w mieście, jak dotąd nie poszły na marne. Oprócz niewczesnych ekscesów kilku niedorostków, porządek nigdzie nie został zakłócony. Niech tak pozostanie i nadal. Niech każdy w miarę sił i możliwości współdziała w tym względzie z Komitetem.”

„Więści z Konina” nr 3, wtorek, 11 sierpnia 1914 r.

„Od kilku dni codziennie przyjeżdża do naszego miasta wozami po kilkanaście rodzin z Kalisza, wystraszonych tamtejszymi wypadkami. Opowiadania uciekinierów, składających się przeważnie z Żydów, są na wiek XX wprost nieprawdopodobne - należy je przyjmować z ostrożnością.”

„Wobec tego, że jak zauważono, cały szereg osób samowolnie przywłaszczają sobie prawo noszenia białej przepaski na lewym rękawie jako odznaki członkowskiej. Komitet bezpieczeństwa publicznego podaje do wiadomości, że prawo to posiadają niżej wyszczególnione osoby: [24 nazwiska, nie wszystkie do pełnego odczytania z powodu zniszczonego, naddartego egzemplarza pisma - J.G.] Borowski Fr., Bossak M., Buczyński J., Szajnszner T., Flonder M., Godlewski, D. Kowalski J.,

Klotz Iz., Kuznowicz [? - J.G.] P., Maciejewski, Michel E.P., Odziemski P., Pawłowski W., Szczepański St., Szretter T., Dr Ślepowski A., Szark D., Bander. Trębaczewicz St., Zaremba A., Miller E. oraz członkowie magistratu: p. Orłowski, Reymont i Sikorki. Lekarze, felczery, weterynarze i akuszerki mają prawo nosić wżety na białej przepasce czerwony krzyż.”

„Więści z Konina. Dodatek Nadzwyczajny”, sobota, 22 sierpnia 1914 roku:

„W areszcie miejskim przebywa kilku przestępców, co do których śledztwo nie zostało w ciągu trzech miesięcy ukończono. W ubiegły czwartek 3 aresztantów, pod wpływem pogłosek o wypuszczeniu więźniów z Kalisza, zaczęło krzyczeć, hałasować i domagać się głośno uwolnienia. Przybyłych, w celu ich uspokojenia, członków komitetu przywitali cegłami z rolanego przedniego pieca. Dopiero strzał z rewolweru, skierowany w jednego przestępcę, ugasił w zarodku wybuchły bunt, ale ofiarą jego padł jeden z aresztantów, który otrzymał w bok postrzał. Lekko rannego odwieziono do szpitala, gdzie pozostaje na kucacji. Po tym wypadku w areszcie zapanał spokój, jak nigdy.”

„Mieszkańcy wsi i miasta powinni nadzwyczaj ostrożnie obchodzić się z ogniem, aby nie wzniecić pożaru,

gdzie w miejscowościach, gdzie ogłoszony jest stan wojenny, jak to ma miejsce u nas, żadne prywatne towarzystwo ubezpieczeń, jako też rządowy wydział ubezpieczeń, nie dają żadnego wynagrodzenia za poniesione wskutek pożaru straty.”

„Więści z Konina” nr 7, wtorek, 25 sierpnia 1914 roku:

„Pomimo wielokrotnych ostrzeżeń, nie wszyscy mieszkańcy naszego miasta stosują się do wydanego przez Komitet bezpieczeństwa publicznego rozporządzenia o zamykaniu bram i sieni domów najpóźniej o godz. 10-tej wieczorem. Otóż nie stosujący się do tego zarządzenia, mającego na celu dobro publiczne, będą pociągani do surowej odpowiedzialności.”

„Jakkolwiek warta nocna odprawiana przez mieszkańców miasta jest powinnością obywatelską, nie wszyscy jednakże uświadamiają sobie moralny obowiązek wzięcia udziału w dyżurach. Wyzywamy więc opieszalszych, by pospieszyli do odpowiednich Opiekunów cyrkulujących z zaofiarowaniem swojej w tym względzie pomocy.”

PS Szersze omówienie „Więści z Konina”, z podaniem czołowych treści ogłoszeń miejscowych w: Janusz Gulczyński, Konińska efemeryda prasowa z 1914 roku, „Rocznik Koniński” 1999 nr 13.

Janusz Gulczyński

Curriculum vitae Antoniego Studzińskiego

Antoni Studziński urodził się w 1909 roku w Rządówce koło Skierniewic, w rodzinie inteligentnej. Miał starszego o pięć lat brata Gustawa. Chłopcy przyszli na świat jeszcze w czasach zaborów, ale wychowywani byli przez rodziców w kulcie żywych i bogatych tradycji narodowych. Wychowanie w rodzinie zaowocowało w latach późniejszych. Antoni w wieku 13 lat wstąpił do drużyny harcerzy im. Zawiszy Czarnego w Skierniewicach. W 1927 roku ukończył gimnazjum i wstąpił do szkoły mierniczej w Łomży. Tam dalej działał w harcerstwie, zdobywał sprawności, pełnił różne funkcje. Po skończeniu w 1930 roku kursu podharcemistrzowskiego został mianowany podharcemistrzem, jednym z najmłodszych w kraju. W Łomży został wybrany hufcowym, a wkrótce powołany na członka Komendy Chorągwi Białostockiej. W 1935 roku uczestniczył w zlocie w Sopocie, gdzie pełnił funkcję oboźnego V podobozu Chorągwi Białostockiej. Równoległe z

działalnością harcerską rozwijała się jego działalność zawodowa, odbywał praktyki miernicze i podjął pierwszą pracę w rejonie Nowogrodu.

Od 1937 roku dla Antoniego Studzińskiego rozpoczął się nowy etap życiowej marszuty. Przybył do Konina, objął stanowisko mierniczego w Starostwie Powiatowym. Nie myślał wówczas, że w Koninie pozostanie na zawsze, do końca życia. Tutaj rozwinął swoje skrzydła i założył rodzinę. W 1938 roku społeczność harcerska obdarzyła młodego podharcemistrza kredytem zaufania i powołała na komendanta. Przygotowanie zawodowe, wiedza, zdolności, pracowitość młodego komendanta budziły wielkie nadzieje. Wszystko to przetrwał wybuch II wojny światowej w 1939 roku. Hufcowy Studziński włączył się natychmiast w szkolenie harcerzy, dokonywanie przydziału zadań dla poszczególnych służb: porządkowej, patrolowej, łączności, przeciwgazowej i sanitarnej. Następnie został współor-

ganizatorem struktur konspiracyjnych. Najpierw Harcerskiej Organizacji Wojskowej, a następnie AK, zachowując stanowisko komendanta na Konin. Pracując w okresie okupacji jako mierniczy, zabezpieczył wiele dokumentów przed zniszczeniem. Po wyzwoleniu organizował placówki geodezyjne w Koninie i Kole. 23 marca 1945 roku Antoni Studziński wraz z grupą harcerzy wznowił działalność Hufca konińskiego i został jego pierwszym powojennym hufcowym. Organizował szkolenia, kursy i obozy, których był komendantem. O jego zaangażowaniu świadczą sobotnie i niedzielne wyjazdy w teren powiatu konińskiego w celu lustrowania i szkolenia drużyn harcerskich, odbierania przyrzeczeń harcerskich, nadawania krzyży, uczestniczenia w uroczystościach wręczania sztandarów, np. w Słupcy 6 czerwca 1948 r. Z chwilą rozwiązania ZHP przez władze zawiązał swoją działalność, którą reaktywował dopiero po 1956 roku. Powrócił odczoch do pro-

wadzenia obozów harcerskich, został członkiem Komendy Hufca, a następnie sekretarzem Powiatowej Rady Przyjaciół Harcerstwa. W 1957 roku mianowano go harcemistrzem.

Poczawszy od lat pięćdziesiątych Antoni Studziński żywo interesuje się poznawaniem i badaniem przeszłości naszego miasta, powiatu i regionu. Jest współorganizatorem placówek kulturalnych, między innymi Konińskiego Towarzystwa Regionalnego, któremu przesował przez 13 lat. Działał również aktywnie w TWP. Był członkiem zespołu redakcyjnego wydawnictwa „Ziemia Konińska”, a potem „Rocznik Wielkopolski Wschodniej”. Co wymagało współpracy z wydawnictwem poznańskim. Jest autorem opracowań o Powstaniu Styczniowym, kilku monografii, wspomnień z okupacji hitlerowskiej. Przez wiele lat gromadził wiedzę o tych, którzy zginęli w czasie II wojny światowej. Zewidencjonował 1200 osób. Ta działalność prowadziła do współpracy z ośrodkami uniwersyteckimi w Poznaniu i Łodzi, a tu szczególnie z p. doc. Janiną Kamińską. Jego zainteresowania były tak szerokie, że inspirował również badania archeologiczne. Antoni Studziński był człowiekiem z pasją i wielkim charakterem, nie lubił bezczynności. W latach powojennych był mandatarium i zasiadał w radzie miej-

skiej i powiatowej. Dał się poznać jako doskonały fachowiec, regionalista i działacz społeczny. Jako geodeta wyjeżdżał w teren. Te wyjazdy były często okazją do gromadzenia różnych ciekawostek o naszym regionie. Pilnie wsluchiwał się w wypowiedzi mieszkańców odwiecznych miejscowości, rejestrował je w pamięci, a potem ze względu na ich wagę przenosił na papier. Tak powstawały jego zbiory o przeszłości miasta i powiatu. Choć nie pochodził stąd, szybko się zaaklimatyzował i wrośł w konińską glebę, zdobył powszechny szacunek i zaufanie środowisk, w których działał.

W roku 1970 odszedł na zasłużony odpoczynek, jednym z powodów były kłopoty ze zdrowiem. Antoni Studziński godnie wypełnił swą misję zawodową i społeczną. Za życia i pośmiertnie otrzymał wiele odznaczeń państwowych, regionalnych, wojskowych i harcerskich. Jednym z nich to Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski.

Antoni Studziński zmarł 8 maja 1993 roku w Koninie. Dla wielu koninian to człowiek-legenda. Jego grób na cmentarzu przy ul. Kolskiej seniorzy harcerscy ozdobili krzyżem harcerskim. Pamięć o nim jest i pozostanie wciąż żywa.

opracowano wg tekstu K. Gościńskiego

